

ZAPASY

„Zamrożone w zapasach wielomiliardowe sumy odciągają z gospodarki cenną masę często importowanych surowców i półfabrykatów, pochłaniają fundusz płac wydatkowany na wyprodukowanie wyrobów, które nie mogą być we właściwym czasie zużytkowane w produkcji lub nie znajdują zapotrzebowania w konsumpcji”.

(Z przemówienia Władysława Gomułki na V Kongresie Związków Zawodowych)

P przed aktywnym gospodarczym staje więc nader pilne zadanie „odmrożenia” tych wielomiliardowych zapasów. Zadanie bardzo złożone. Trzeba bowiem naprzód stwierdzić, gdzie te zapasy tkwią (to już się robi), co się na nie składa, w jakim znajdują się stanie i w jaki sposób najlepiej je zużytkować? Lecz na tym nie koniec. Nie wolno chyba dopuścić do tego, aby za rok zapasy znowu narosły, a tak, niestety, dotychczas bywało. Ileż to bowiem już razy organizowaliśmy różne kampanie i akcje upłynynniania „remanentów”?

Trzeba więc jeszcze górowo zbadać konstrukcję tego mechanizmu zaopatrzania, który w działaniu sprawia tak kosztowne niespodzianki i usunąć wady w jego budowie. Kto wie, czy nie trzeba będzie nawet zastąpić starego mechanizmu zupełnie nowym, doskonałym.

Ta ostatnia część zadania może być bodajże najtrudniejsza do przeprowadzenia. Twórcy starego mechanizmu będą go bronić, nowa konstrukcja nie została jeszcze opracowana i wypróbowana, a i na nas samych ciąży w jakiś sposób siła przyzwyczajenia. Jakże niechętnie rozstaniemy się ze starymi, przydeptywanymi i dziurawymi papuciami!

Dziś, nauczani przykrymi niespodziankami starego mechanizmu, mniej więcej zdajemy sobie sprawę, jakim warunkom powinien odpowiadać nowy. A więc, wydaje się nam, nie powinien się on opierać na starym systemie centralnej transmisji przekazywania, lecz jak każda nowoczesna maszyna, powinien mieć napęd indywidualny z automatycznym wyłącznikiem. Rolę automatu musi spełniać szybko i sprawnie działający rachunek ekonomiczny, który bezlitośnie biłby po kieszeni chomików i rozrzutników.

Naturalnie, w nowej konstrukcji wszystkie trybiki i kółka powinny ząbać się ze sobą jak w sprawnym mechanizmie. Gdy zakład zamówi u swego dostawcy materiał na 10 grudnia godzinie 8 rano, to 10 grudnia materiał musi być dostarczony w żądanej ilości, kształcie, barwie, itd. Wtedy odpadnie jeden z głównych argumentów uzasadniających gromadzenie przez przedsiębiorstwa nadmiernych za-

pasów: obawa przed niesumiennością dostawcy. Że taka organizacja zaopatrzania jest możliwa, świadczą liczne przykłady przedsiębiorstw zagranicznych, które pracują z zapasami materiałów wystarczającymi zaledwie na kilka godzin produkcji lub wprost „na styk” potrzeby z dostawą. Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak wielkie z takiej organizacji ciągną korzyści; oszczędzają na środkach obrotowych, na budowie i utrzymaniu magazynów, na rytmice produkcji; oszczędzają także na nerwach załogi.

Może ktoś zarzuć autorowi, że jest fantasta. Odpowiem: cóż wart jakikolwiek działacz bez odrobiny wyobraźni? Przecież budujemy coś nowego, coś co ma być doskonałe od wszystkich znanych nam dotychczas organizacji życia społecznego, a więc i produkcji także! Spojrzymy na Wschód, z jaką odwagą i śmiałością ludzie radzieccy zmieniają to co jeszcze 5 lat temu uważali za dobre! Dlaczegoż — to my uważaliśmy na całym świecie za naród romantyków — nie możemy wyczerować siebie w wyobraźni i stworzyć w praktyce doskonałej organizacji zaopatrzania?

Nowa konstrukcja nie ma umożliwić wykonywania przez przedsiębiorstwa planu „dla planu”, produkowania wyrobów, na które nie ma nabywców. Wtedy bowiem zostaje zużyty surowiec, z którego można by wytworzyć wyroby poszukiwane; opłaconą robocizną tysięcy ludzi idzie na marne; administracja dostaje niezaskluzoną premię; produkt latami leży w magazynach. Jeszcze trzeba opłacać strażników, żeby tego produktu strzegli.

Marzymy o dośnięciu w stopie życiowej krajów wysoko rozwiniętych. Nie uwzględniamy jednak oczywistego faktu, że chcąc dorównać najbogatszym krajom świata, musimy wydajniej pracować i oszczędniej niż one gospodarować materiałami. Amerykanie np. mają w swojej ziemi nie tylko węgiel i sól, lecz także duże pokłady rudy metali, boksytu, złoża ropy i wiele innych cennych surowców, których naszej ziemi natura poskąpiła. My musimy te surowce kupować. Musimy za nie płacić i to bardzo często takimi towarami, które w innych warunkach

Dokończenie na str. 4

Kadrowy
dylemat
miasta
z ośmioma
uczelniami

GAT

Poznań
9. XH. 1962
Nr 61 Rok II

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

TYGODNIA

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Ludzie są — ludzi nie ma

Piotr Życki

Bez wątpienia mamy tu do czynienia z swego rodzaju paradoksem: Poznań, miasto ośmiu uczelni — cierpi na ostry niedobór ludzi z wyższym wykształceniem. Sytuacja w województwie jest podobna. Trudności kadrowe Wielkopolski i jej stolicy wyraziście określa statystyka: krajowa przeciętna zatrudnionych (w przemyśle kluczowym) z wyższym wykształceniem wynosi 3,8 proc. — Poznań i Poznańskie mają fachowców po studiach tylko 2,8 proc.

Problem nie wyłonił się w tym czy poprzednim roku. Niedobór ludzi z wyższym wykształceniem w Poznaniu i w Poznańskim — daje się odczuwać od szeregu lat. W ostatnim jednak czasie przybrał on na ostrości. Spowodowały to potężne inwestycje przemysłowo-rolne, realizowane lub przygotowywane do realizacji na naszym terenie.

Zagadnienie zabezpieczenia w wykwalifikowane kadry rozwijającej się z każdym rokiem gospodarki było niejednokrotnie przedmiotem analiz i rozważań. Ich radą była fragmentaryczność i niepodejmowanie wiążących, zleczanych do wykonania, uchwał. W poszczególnych instytucjach i zakładach przemysłowych często próżno by szukać elementów dalekowzrocznej polityki kadrowej. Dokonanie zatem na plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódzkiego PZPR (w listopadzie) dokładnego zbadania problemu kadrowego, należy uznać za doniosłe wydarzenie.

Fasada i podwórka

Siedemnaście tysięcy studentów, czyli 11 proc. wszystkich studiujących w kraju. Ośmiu uczelni. Dlaczego więc wskaźnik zatrudnionych z wyższym wykształceniem jest w Poznaniu i województwie niższy od przeciętnej krajowej?

W ubiegłym roku mury poznańskich uczelni opuściło 2319 absolwentów różnych specjalności przy czym poszczególne grupy zawodo-

we nie były jednak liczne. (Akademia Medyczna — 543 osoby, PWSSP — 13). Pamiętać też trzeba, że praktycznie rzecz biorąc liczba absolwentów była mniejsza o 473 studiujących zaocznie i związanych już z różnymi stanowiskami pracy. Tak więc gospodarce przybyło niespełna dwa tysiące ludzi.

Zdecydowaną większość studentów poznańskich uczelni stanowią stypendyści instytucji, fabryk, urzędów, placówek rolniczych — położonych poza granicami Wielkopolski. Wiąże się to w znacznej mierze z faktem tzw. promieniowania tułejczych szkół wyższych na inne województwa, zwłaszcza zachodniopółnocne. Ale można też i trzeba chyba mówić o stypendialnym skąpstwie poznańskich i wielkopolskich zakładów pracy, którego przyczyną tkwi zapewne w niedocenianiu problemu kadrowego.

Oto na poznańskiej WSR studiuje 359 młodych ludzi z ziem zachodnich, przy czym aż 74 proc. ma stypendia. Studenci tej samej uczelni z Poznania, Wielkopolski, oraz województw centralnych — tylko w jednej trzeciej korzystają z pomocy materialnej rozmaitych miejscowych fundatorów. Najdramatyczniej przedstawia się ta sprawa na UAM (4,6 proc. młodzieży ma stypendia poznańskie, czy wielkopolskie) i na AM (10 proc.). A że można prowadzić w tej mierze przemysłową politykę, świadczyć przykłady z Politechniki Poznańskiej i Wyższej Szkoły Ekonomicznej, gdzie miejscowe stypendia stanowią 50 i 40 proc. Co prawda poznańskie zakłady pracy fundują również stypendia na uczelniach Warszawy czy Gliwic — nie są to jednak liczne przypadki.

Istotną sprawą jest zwiększenie oddziaływania na młodzież przy wyborze kierunków studiów. Chodzi o to, by na niektórych specjalnościach nie pozostawały wolne miej-

sca. Natomiast tzw. limity przyjęć powinny stać się wypadkową potrzeb gospodarczych i aktualnych możliwości dydaktycznych uczelni (wydziału).

Uczelniane kulisy

Poświęćmy teraz nieco uwagi „zdolnościom produkcyjnym” poznańskich szkół wyższych. 17 000 studentów jest kształconych przez niecałe 1 550 pracowników nauki. Oznacza to, że jedenastoma procentami ogółu studiujących w Polsce, opiekuje się grupa ludzi, stanowiąca tylko 4,5 proc. ogółu naszych naukowców. Inaczej: na każdego pracownika nauki w Poznaniu, przy pada około stu dziesięciu studentów.

Dają się ponadto zauważyć, częściowo tylko uzasadnione, dysproporcje w rozmieszczeniu kadry naukowej. Przykłady: AM—511, Politechnika — 172. Niepokojąca jest struktura wieku pracowników nauki: aż 22 poznańskich profesorów zwyczajnych (spośród 49 ogółem) przekroczyło sześćdziesiąty rok życia i tylko 3 liczy mniej niż lat pięćdziesiąt. Co gorsza, zaledwie jedna czwarta (mniej więcej) docentów jest w wieku poniżej 45 lat. Sytuacja taka stanowi wynik wadliwej polityki awansowania pracowników nauki oraz przewlekłego trybu przeprowadzania przewodów doktorskich i habilitacyjnych.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Poważny szkopuł stanowi to, że obok kierunków studiów, wydziałów lub zakładów, gdzie stworzono młodym klimat rozwoju naukowego — są i tacy kierownicy katedr, którzy w ciągu siedemnastu lat nie wychowali ani jednego docenta, czy nawet doktora. Takie przykłady można znaleźć na WSE, UAM i AM. Co więcej nie brak katedr, nie mogących się poszczycić w ostatnich latach żadnym dorobkiem naukowym.

Dokończenie na str. 3

P przed 25 laty kroczył ulicami Warszawy dziwny kondukt żałobny. Szli członkowie rządu z oficjalnym smutkiem na twarzach, obok swych przeciwników politycznych, szli robotnicy i wygłówniani oficerowie.

Pożegnanie z Konstątnówką

Tadeusz Gałęcki — bo tak brzmi prawdziwe nazwisko pisarza — przyszedł na świat w Lublinie w 1871 r. Atmosfera domu dla wrażliwego, dorastającego chłopca była trudna do zniesienia. Drażniło go dorobkiewiczstwo ojca, który dziecku umiejętnemu lawirowaniu potrafił pogodzić szlachetną dumę z handlem korzennym. Rozpoczynając naukę w gimnazjum — były to czasy osławionego kuratora Apuchina — młody Tadeusz szybko odnalazł równieśników o podobnych mu poglądach. Zaczęły się pierwsze tajne spotkania, dyskusje i wreszcie czytanie konspiracyjnej bibuły... Po maturze, na wyraźne życzenie ojca — rozpoczął studia w Instytucie Rolniczo-Leśnym w Puławach. Dyrektor gimnazjum posłał wówczas do Puław raport: „Znalazłem u Tadeusza Gałęckiego książkę w języku polskim wydaną w Warszawie, ale stanowiącą przekład obcego dzieła dotyczącego położenia klasy robotniczej i w ogóle ustroju społecznego”.

I tak się zaczęło pożegnanie z Konstątnówką — ojcowiskiem folwarczkim. Młodzieńcza konspiracja stała się pierwszym krokiem na trudnej drodze, którą autor „Dzień jednego pocisku” szedł uparcie do końca potykając się i podnosząc.

Irena Solińska

Słowem SZLACHETNYM I TWARDYM

Mimo tysiąca rozczarowań i wewnętrznych konfliktów.

„Kudłaty”

Trafili już do Puław echa Zjazdu Paryskiego powołującego Polską Partię Socjalistyczną. Student Gałęcki skupiony i opaczony nie wyżywał się w słowach lecz w działaniu. Ciągnęła go wieś. Angażował się mocno w działalność koła Oświaty Ludowej. Wraz z kilkoma kolegami znalazł się wkrótce w warszawskiej Cytadeli, a potem w Guberni Archangielskiej na zesłaniu.

Pierwsze represje zbiegały się z pierwszymi próbkami literackimi: nowele, przekłady. Pogłębiało się też w Archangielsku doświadczenie polityczne, młodego entuzjasty socjalizmu. Doszedł do wniosku, że nieodzownym warunkiem zwycięstwa idei jest współdziałanie proletariatu Polski i Rosji. Gdy wrócił do Warszawy w 1901 r. spotkać go można było wśród robotników w fabrykach i na wiecach. Ten prawdzi-

wie twórczy rozdział towarzysza „Kudłatego” nie trwał długo. Jeszcze tylko ślub z Honoratą Rechniewską, pośpieszna sprzedaż Konstątnówki (zabezpieczywszy byt matce i siostrze resztę przeznaczył na potrzeby partii) i — wyjazd do Krakowa. Policja deptała mu już po piętach.

Towarzysz August

Wreszcie wymarzone studia na uniwersytecie. I nie były jakie sukcesy: pierwsza nagroda w 1902 r. na konkursie za studium o Żeromskim podpisaną pseudonimem Andrzej Strug. Odtąd tak podpisywał swoje utwory, pod tym nazwiskiem przeszedł do historii literatury polskiej.

Kraków, „centrala” PPS, gniazdo rozgrywek, intryg i waśni — szybko uświadomił szlachetnemu entuzja-

ście, że obrona droga jest trudna i pełna zasadzek. Towarzysz August nie mógł się pogodzić z oszczerstwami rzucanymi na Marcina Kasprzaka, działacza SDKPiL, jako na rzekomego prowokatora, czym wielce naraził się „bonzom” z CKR. Obejmując redakcję „Gazety Ludowej” wyraźnie przestrzegał chłopów przed utożsamianiem walki przeciwko caratowi z walką przeciw ludowi rosyjskiemu. I znowu zaczęły się na niego sypać gromy i szykany. Nie załamały jednak rozgoryczonego Struga, gdyż całkowicie pochłonięty go nadchodzące wydarzenia 1905 r. Częściowo konno, częściowo pieszo przedostał się z Krakowa do Warszawy.

W hołdzie ludziom podziemnym

Po upadku rewolucji skazano go na opuszczenie granic Królestwa. W Paryżu pisał swoje książki, w których jako artysta i zaangażowany działacz próbował ocenić burzliwy rok 1905.

Jednocześnie chciał wystawić pomnik bezimiennym bohaterom, którzy zginęli za sprawę. On jako jedyny z polskich pisarzy nie patrzył na rewolucję z okna. Klęska była jego klęską osobistą. Dlatego mógł pisać tak prosto, żarliwie i uczciwie. „Ludzie podziemni” to cykl opowiadań o konspiratorach w ich codziennym działaniu, o ich wahaniach i bohaterstwie bez koturnów. Książka ta powstała w 1908 r. „Ze wspomnień starego sympatyka” — to pozycja, której autor nadał fikcyjną formę pamiętnika odnotowującego

wydarzenia 1905 r. Również w Paryżu powstają: „W twardej służbie” i „Dzieje jednego pocisku”.

W kręgu złud

Rozterka wewnętrzna po rozłamie PPS, opowiadanie się po stronie lewicy, by potem, nie dając wiary pewnym faktom, znaleźć się we Francji nie ugasiła w pisarzu żarliwej wiary w słuszność idei. Gdy tylko zarysowała się możliwość działania, mimo słabego zdrowia — przywdział nawet mundur ułuski. Tuż po wojnie został wiceministrem propagandy w rządzie lubelskim Daszyńskiego. Nie zdaje sobie sprawy że to, co z takim przekonaniem w imieniu tego rządu deklarował nie będzie dotrzymane. Jak kiedyś w obronie Kasprzaka, tak w roku 1920 występował przeciw internowaniu żołnierzy pochodzenia żydowskiego w Jabłonie. Z taką samą odwagą występował przeciw organizatorom haniebnego procesu brzeskiego. Wybrany senatorem w 1923 r. miał odwagę powiedzieć: „Lewica zawsze będzie opozycją dopóki niepodległość uchodzić będzie za drogi luksus”.

Andrzej Strug, współzałożyciel i pierwszy prezes Związku Literatów Polskich pozostawił szereg książek ukazujących koszmar i bezsens minionej wojny. Po jego śmierci Broniewski napisał: „On nas słowem szlachetnym i twardym nauczył męstwa”. To epitafium było najpiękniejszą odznaką za jego wierną służbę.

Nowoczesność

Praca

Samopoczucie

CZY TYLKO KOLOR?

Zbigniew Mika

Na temat podnoszenia poziomu kultury handlu, pracy biurowej, transportu, budownictwa itp., napisano dotychczas wiele. Stosunkowo najmniej miejsca poświęcono kulturze wytwarzania. Snać jednak problem to doniosły skoro nieproporcjonalnie do słów drukowanych mało jest przykładów dobrej roboty w tej dziedzinie.

Gdy trzy lata temu w ledwie ukończonej hali kaliskiej przedalni cieni kopryjennego zakładu ostatnia fundamenty pod maszyny, ktoś rzucił propozycję, aby wewnątrz jej urządzić inaczej niż nakazywała tradycja. Rozumowano wówczas, że w nowoczesnej fabryce już nie wystarczy samo zabezpieczenie człowieka przed urazami fizycznymi i chorobami zawodowymi; potrzeba miłej atmosfery, jak najprzyjemniejszego otoczenia, nadejścia hali estetycznego wyglądu — wy dawała się konieczna.

W przeciwnieństwie więc do wielu innych fabryk, ściany, filary, pasy ostrzegawcze, maszyny, drzwi i klatki schodowe — pomalowano różnobarwnie. Kolorowymi plamami wy różniono także miejsca składania surowców, przejazdy wózków towarowych i betonowe podstawy maszyn. Słowem, z surowej, nieprzytulnej hali fabrycznej uzyskano pomieszczenie nie robiące zgoła sympatyczne wrażenie.

Być może ten i ów Czytelnik pomyśli sobie, że takie malowanie to żadna nowość, a po prostu maniera ostatnich lat i że to właściwie... szkoda dać farby. Znajdą się też stronnicy poglądu, iż nie należy żałować farby i pieniędzy, jeśli to stwarza lepsze warunki pracy, uszlachetnia ją i pod

nosi jej wartość. Będą to jednak argumenty, które nie przemawiają każdemu, do przekonania, a szczególnie do trzeźwych ekonomistów. Ci zaczęli domagać się konkretnego rachunku. Może i słusznie. Ale niech ktokolwiek takich obliczeń spróbuje dokonać. Bezskutecznie. Nie ma dostępnych fabrykom metod i opracowań, które by pozwalały na ocenę „udoskonalenia kulturowych”. Wszystkie uzasadnienia świadczą o ich celowości, obracają się w sferze uogólnień i sloganów, w rodzaju: „przez wyższą kulturę pracy do lepszej wydajności”.

Z liczydłem w ręku

Z braku dostępnych metod naukowych trzeba było sięgnąć po prymitywne liczydło. Kaliska Fabryka Pluszu i Aksamitu (wspomniana przedalnia jest jej oddziałem) pokusiła się o pewne fragmentaryczne badania skutków zastosowanej — jak się tam określa — kolorystyki. Najpierw przeprowadzono wśród pracowników wywiad ankietowy, a później dokonano wycieżeń niektórych wskaźników i porównano je z podobnymi — z bratańskiej przedalni średnioprzedniej.

Na pytanie ankiety: „dlaczego podoba ci się wnętrze nowej przedalni” — zdecydowana większość badanych odpowiedziała, że to główna zasługa kolorowych ścian, które podnoszą estetykę wnętrza. Oceniono nadto, że kolory pełnią bardzo pożyteczną funkcję: barwne pasy komunikacyjne i znaki ostrzegawcze, podkreślając miejsca niebezpieczne — zmniejszają napięcie uwagi. Także psychologowie są zda-

nia, że kolorowe plamy ożywiają przytłumioną monotonią rytmem maszyn — wyobraźnię robotników.

Coś w tym musi być, skoro starsi majstrowie, którzy kierowali już nie jednym tysiącem pracowników opinują, że te same robotnice, zatrudnione przed dwoma laty w starej przedalni, zdradzały objawy stałego zdenerwowania. Tu pracują spokojnie i nie uskarżają się na przemęczenie. Majstrowie zresztą mówią to samo o sobie.

Tyle — fragmenty ankiety i „żywej” opinii. Warto jednak zajrzeć i do statystyki, np. absencji chorobowej: w roku 1961 w starej przedalni wskaźnik zachorowań wynosił 6,9 proc. zaś w nowej tylko 3,7 proc. Podobnie wymowny jest rejestr wypadków przy pracy. Ten także świadczy dodatnio o walorach nowej przedalni i stworzonych tam warunków. Oto bowiem, gdy w ubiegłym roku na 1.000 zatrudnionych przypadło tu 13 wypadków, to w tym samym czasie w przedalni średnioprzedniej było ich 18.

Niewymierne wartości

Przytoczone tu wskaźniki są bardzo wymowne i zachęcające. Jakką jednakże reprezentują one wartość bezwzględną — trudno nam dobrać, jak też trudno określić stopień zależności ich kształtowania od omawianych tu „kolorystycznych reform”. Cokolwiek tu nie powiemy, to entuzjaści innowacji w przedalni sypną sugestyjnie nowymi argu-

turysty zagranicznego. Nie znaczy to, że tylko dla niego kelner w lokalu czy pokojówka w hotelu ma miły uśmiech lub zgina się w głębokim ukłoncie. Ale inwestycje niewątpliwie nakierowuje się na potrzeby, wymagania, gust i (powiedźmy to sobie szczerze) snobizm cudzoziemców.

Oto i tak już bardzo rozwinięta żegluga przybrzeżna na Adriatyku zamierza w przyszłym sezonie uruchomić dodatkowe linie, by powiązać kursowanie statków z rozkładami jazdy pociągów i autobusów oraz lotami samolotów. Ponadto porty jugosłowiańskie otrzymają dalsze połączenia z Wenecją, Pireusem i Korfur, a mniejsze statki zastąpią się takimi, które będą mogły zabrać więcej pasażerów, gwarantując im zarazem wyższy luksus. Przewiduje się uruchomienie dalszych sezonowych linii lotniczych w połączeniach krajowych między poszczególnymi atrakcyjnymi ośrodkami, a amerykańskie przedsiębiorstwo lotnicze „Pan American” pertraktuje na temat stałych połączeń z Belgradem i Dubrownikiem, przy czym rozmowy dotyczą także rezerwacji dla amerykańskich turystów luksusowych hoteli w Zagrzebiu i nad Adriatykiem.

Rzecz zrozumiała, że także pod kątem potrzeb przyjezdnych, zwłaszcza tych na dwu i czterech kółkach, urzęda się lokalne gastronomiczne, hotele, kawiarnie, szczególnie zaś motele.

„Przyjeżdżajcie zimą na Hvar! Gwarantujemy po goście!” — głosi hasło. Da się je zastosować do każdej jugosłowiańskiej miejscowości wypoczynkowej czy turystycznej. Różnica polega tylko na tym, że zimą można na tej wysepce zaoszczędzić nieco dinarów (można, ale wątpliwa to perspektywa), ale w sezonie, zarówno tam, jak i w każdym innym rejonie, na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo znacznego przekroczenia zaplanowanych wydatków. No cóż, turystyka kosztuje. Za piękno trzeba płacić.

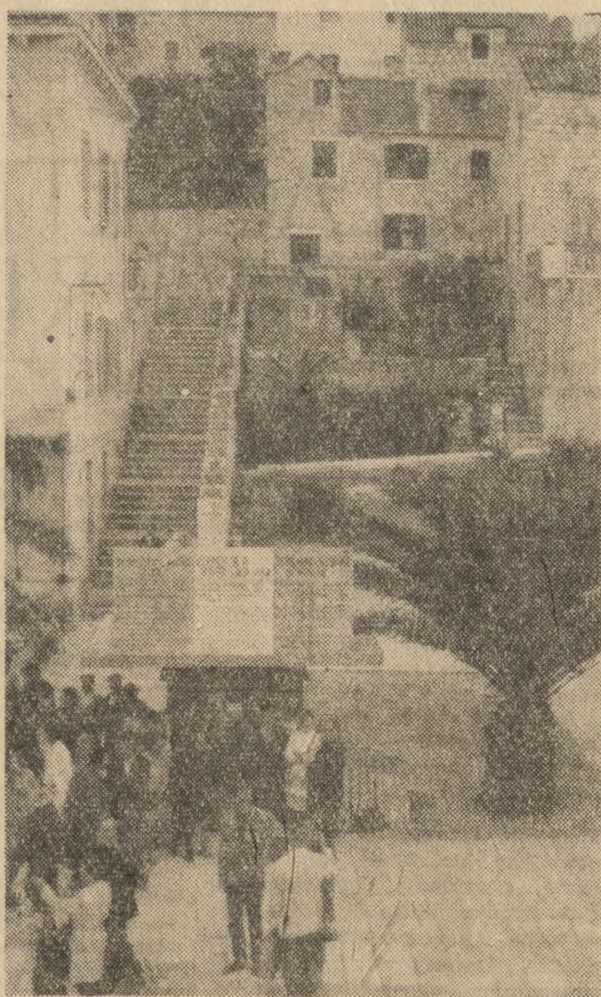
mentami. Oto będą dowodzić, że dobre samopoczucie pracowników budzi entuzjazm pracy i wpływa na dyscyplinę. Syrena fabryczna stała się zbędnym reliktem, spóźnialscy bowiem są tu zjawiskiem rzadkim. Stanowią oni zaledwie 0,1 proc. ogółu załogi (w porównaniu do 9,5 proc. w innych oddziałach fabryki).

Co więcej — tego samego autorstwa jest twierdzenie, że dalszą konsekwencją podniesienia kultury pracy jest narastanie atmosfery sprzyjającej rozwojowi kulturalnemu i społecznemu pracowników. Można to dostrzec np. przy okazji masowych zebrzań, wieców, czy świąt o charakterze politycznym. Podobnie jest z działalnością kulturalno-oświatową; opiera się ona zdecydowanie na młodzieży z przedalni cienioprzedniej. Ta najaktywniejsza część załogi „Pluszowni” nie daje się także zdystansować we współzawodnictwie i w realizacji czynów społecznych oraz zobowiązań okolicznościowych.

Próba podsumowania

Nie trzeba chyba stawiać kropki nad „i”, precyzować wniosków i ocen. Nasuwają się one same. Budzą optymistyczne refleksje... i sporo pytań. Nurtuje nas wątpliwość, czy istotnie kolorystyka jest tym dominującym czynnikiem kształtowania pomyślnych wskaźników, a jeśli tak to w jakim stopniu? Czy zastosowane barwy są psychologicznie prawidłowe? A może to tylko nowoczesność hali, jej imponująca konstrukcja, przestronność, jasność pomieszczeń — decydują o dobrym samopoczuciu pracowników? Na pewno nie bez wpływu na te sprawy pozostają stosunki pomiędzy pracownikami — majstrami — inżynierami. Rodzi się wreszcie inna kwestia: dlaczego ograniczono się tylko do kolorystyki? Jest przecież jeszcze wiele innych środków tworzenia kulturalnej atmosfery pracy.

Stawiając te pytania — nie chcemy umniejszać zasług „Pluszowni”, które należy zaakcentować choćby w uznaniu pionierskich poczyną. Staramy się po prostu podkreślić nieświeżość. Wyświetlić ich nie można m. in. dlatego, że kultura pracy — najmłodsza latorośl matki KULTURY, nie doczekała się w zasadzie żadnych teoretycznych opracowań, ani żadnej fachowej opieki i nadzoru ze strony resortów, czy instytucji naukowych. Raz w roku związki zawodowe przypominają sobie o „akcji KP”, ślą w Polskę woźnice instrukcje i — na tym koniec. Cokolwiek więc robi się w tym zakresie, to robi się metodami chałupniczymi, po omacku, trochę na wyczucie, a trochę na chłopski rozum. To dobrze, że coś się w tej dziedzinie dzieje, źle jednak, że po dyletancu.



Zabytkowe kamieniczki, palmy i tłum czekających na przybicie statku — oto codzienny obrazek w porcie uroczej wysepki Hvar.

Zdjęcie autora

Janina Szamrefa

Psycholog w hali fabrycznej

Niepokojące zjawisko fluktuacji załóg przybiera coraz groźniejsze rozmiary. W wielu przedsiębiorstwach porzuca i zmienia pracę dwa razy tyle pracowników, co w roku ubiegłym. Czy wystarczająca jest jednak nasza obecna wiedza o przyczynach podwojenia się fluktuacji?

Dotychczas brak jest rzetelnych analiz, co do przyczyn odchodzenia pracowników. O nich mówi się półgłosem, po cichu rozprawia o tym przyjaciel przyjaciel. Oto typowa rozmowa, której byłam świadkiem w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu.

— Pracowałem tu 9 lat, ale gdy odchodziłem, nikt, choćby dla przyzwoitości, nie zapytał dlaczego odchodzi — mówi inżynier do inżyniera.

W przedsiębiorstwach nie ma kto rozmawiać z pracownikami.

— Na rozmowę w okresie wymówienia jest za późno — mówi jeden z kierowników w FSO. — Proszę mi powiedzieć, kiedy można się zorientować, że pracownik odejdzie?

Gdy wyjaśniam, że wówczas, gdy zacznie okazywać niezadowolenie, padło następne pytanie:

— A kto powinien się interesować, czy pracownicy są zadowoleni z pracy? Chciałbym się np. dowiedzieć, czy ustawiacze są po naszej stronie, tj. kierownictwa, czy po stronie operatorów. Niech pani ich łaskawie zbada...

Spośród około 115 ustawiaczy (są to wysoko wykwalifikowani robotnicy zajmujący się ustawianiem obrabiarek, z których każdy nadzoruje pracę 4—15 pracowników bezpośrednio produkcyjnych) w Wydziale Produkcji Mechanizmów — wytypowano do badań 25 osób cieszących się u kierownictwa opinią najlepszych pracowników i 12 najsłabszych pracowników. Okazało się jednak po badaniach, że między obu grupami nie ma różnicy, co do stopnia niezadowolenia z pracy. Poza kilkoma wyjątkami, które trudno było zaklasyfikować, wszyscy stanowili jedną grupę niezadowolonych z powodu braku perspektyw w pracy.

Oto typowe przykłady oceny własnej pracy:

— Praca moja przypomina mi pracę służącego mającego do obsłużenia kilku panów — zawsze gdzieś zabraknie mojej osoby. Trzeba tu większość wysiłku poświęcić na taktyczne podchody, bo tylko wtedy można liczyć na jakieś osiągnięcia...

„Ustawiacz jest kims w rodzaju „podkocz”, przynies, podaj!”. Nie ma tu z kim rozmawiać, prawa dżungla są chyba sprawiedliwsze...

„Niczego tu się nie można nauczyć. Pracuję tu ponad 9 lat i ciągle wykonuję to samo... Zakład uniemożliwia mi podnoszenie kwalifikacji...”

W ocenach pracy dominują skargi na brak perspektyw w pracy, brak poszanowania pracownika, brak zrozumienia jego potrzeb zawodowych i choćby elementarnych udogodnień. Wreszcie słyszy się powszechne skargi na złą organizację pracy. Podawane fakty są prawdziwe. Wina za swe niezadowolenie z pracy obciążają ustawiacze kierownictwa zakładu i wydziału.

Kierownicy produkcji na ogół nie orientują się w tym, co pracownicy myślą i jak czują się w pracy. Próby zolizowania się do załogi kończą się najczęściej niepowodzeniem, ponieważ opierają się na teorii: „my” (kierownictwo) i „wy” (pracownicy). Gdzieś na szczeblu mistrza zarysowywać się zaczyna w przedsiębiorstwach granica pomiędzy owymi „my” i „wy” pracowników.

Ostatnio zwolniło się kilku ustawiaczy-trzydziestolatków po przepracowaniu 6—9 lat w FSO. Nikt jednak w wydziale, w którym pracowali, nie umiał powiedzieć, dokąd poszli.

— Za bramę! — mówi się tu „żartem”.

Dopóki naprawdę nikt nie będzie się interesował sprawami pracowników, osobą pracownika, dopóty takie odpowiedzi będą typowe dla problemu fluktuacji. Dopóty pracownicy swoje podstawowe potrzeby zawodowe będą mogli zaspokajać przede wszystkim poprzez zmianę zakładu pracy.

Eugeniusz Coffa

Za piękno trzeba płacić

Wspominki jugosłowiańskie

„Za każdy dzień, gdy pada dłużej niż trzy godziny, od 7 do 17, — 50 proc. zniżki;

za każdy dzień, w którym pada śnieg — za każdy dzień mglisty — za każdy dzień, w którym temperatura wynosi „0” stopni lub poniżej — oferujemy bezpłatny hotel łącznie z pełnym wyżywieniem”.

Takie ogłoszenie — w kilku językach — wita przybywających na wyspę Hvar. Na wstępie widnieją oczywiście zaproszenie na zimę, bo owe ulgi dotyczą wyłącznie tej pory roku, mniej więcej od listopada do końca marca.

Hvar to jedna z dziesiątek jugosłowiańskich wysep na Adriatyku, które w sezonie letnim (i nie tylko) ściągają tłumy turystów jugosłowiańskich i zagranicznych. Jednak wyłącznie jej zarząd mógł się zdobyć na tak śmiałe propozycje, gdyż — jak mnie informowano — przypadki określonych wyżej zjawisk atmosferycznych występują tu w zimie raz na kilka bądź kilkanaście lat.

Jakkolwiek na tę wysepkę i pozostałe wabią turystów wspaniałe warunki, liczne zabytki, niekiedy pochodzące sprzed początków naszej ery lub z wczesnego średniowiecza, praktycznie cała Jugosławia stanowi atrakcję dla każdego szukającego tu emocji, zarówno wypoczynkowo-krajobrazowych, jak i folklorystyczno-zabytkowych. Tak już jest w tym kraju, że wszystko doprowadza tu zwiedzającego do wrażeniowego szoku.

Rzecz prosta dwa tygodnie wędrowki po Jugosławii nie starczą na obejrzenie wszystkiego, co polecają liczne foldery, przewodniki i mapy. Bo właściwie to trzeba by posiedzieć kilka dni w uroczym Dubrowniku, wypadałoby zobaczyć Pulę z jej licznymi zabytkami, warto pomieszkować w Opatiji, miasteczku hoteli i pensjonatów nad północnym brzegiem błękitnego Adriatyku, wabi licznymi reklamami uroczą Macedonię, zaprasza Sarajewo, każą ci jechać do Bledu... Wszędzie afisze, propozycje, zachęta: w biurach „Putnika” (tyle co nasz „Or-

bis”), na lotnisku, na przydrożnych reklamach, w restauracjach, słowem — na każdym kroku.

Jugosłowiańskie władze doskonale zdają sobie sprawę z walorów turystycznych kraju. Toteż szeroko otwierają swe granice, wypuszczając każdego, kto wiezie z sobą nie tylko chęć poznania go, ale głównie — dewizy! A kto przyjeżdża? Wszyscy, z całego świata. Jadąc autostradą z Zagrzebia do Belgradu miałem okazję — mimo schyłku sezonu (październik!) — spotkać po drodze auta z NRF, Austrii, Włoch, Holandii, Francji, Anglii, Maroka, Iraku, Turcji, Bułgarii i wielu innych krajów, których znaków nie zdążyłem zanotować. Stanowiło to dla mnie potwierdzenie statystyki o ruchu turystycznym. A ta ostatnia mówi, że np. ub. roku odwiedziło Jugosławie 1 079 516 gości. Pozostawili oni niebagatelną kwotę — ponad 24 miliony dolarów! Jest to prawie 3 i półkrotna wyższa w stosunku do wyników roku 1938. My, Polacy, stanowimy w tym bałkańskim kraju także coraz znaczniejszy odsetek zwiedzających. W ubiegłym roku było nas w Jugosławii przeszło 17 tys. Jak mnie informował sympatyczny, mówiący zresztą doskonale po polsku, dyrektor „Putnika” w Dubrowniku, p. V. M. Kavurčić, w tegorocznym sezonie szczególnym powodzeniem z naszej strony cieszyła się Opatija.

W całej jednak plejadzie setek tysięcy przyjezdnych ponad połowę stanowią obywatele NRF i Austrii. Dopiero za nimi liczą się turyści z innych krajów, głównie Włoch i USA. Najbardziej hojni są Amerykanie. Jak obliczono, w ub. roku przeciętny turysta z tego kontynentu wydawał dziennie 8 174 dinary. My stoimy nieco gorzej, acz nie na końcu tabeli, bo pozostawialiśmy w Jugosławii za każdy dzień przeciętnie 2 157 din. Znaczy to, że byliśmy ostrożniejsi w wyborze noclegów, jadałismy skromnie, a przede wszystkim bardzo mało wydawaliśmy na pewno na upominki i tak kosztowne tutaj pamiątki z bogatego wyboru dzieł sztuki ludowej narodów Jugosławii.

Oblicza się, że w 1965 r. Jugosławia zarobi na turystyce 100 milionów dolarów. Czy suma ta jest realna? Odpowiedź musi być twierdząca, jeśli powiem, że wszystko tutaj czyni się pod kątem potrzeb

Jerzy Mańkowski

Nie ma kultury bez oświaty

Artykuł dyskusyjny

Polska wieś współczesna uległa w powojennym osiemnastolecu zasadniczym zmianom strukturalnym, społecznym i ekonomicznym. Stare wartości zostały zastąpione nowymi, koł — traktorem, a człowiek — maszyną. Kobiety wiejskie nie wzywają już „babki” z sąsiedniej wsi, ale rodzą w klinikach i izbach porodowych. Energia elektryczna dotarła już do bez mała każdej polskiej wsi, radio i telewizja przestały być objawieniem. Otwarto szereg świetlic, klubów i kawiarni. Na terenie samej tylko Wielkopolski pracuje kilkaset wiejskich zespołów teatralnych, tyleż samo, jeśli nie więcej tanecznych, chórów itp. Teatr objazdem swym obejmuje wiele miejscowości. A jednak wbrew przewidywaniom optymistów zainteresowanie teatrem bynajmniej nie wzrosło w skali, proporcjonalnej do ilości pracujących zespołów amatorskich. Członkowie orkiestry strażackiej nie wypełniają sal koncertowych w czasie terenowych występów zespołów filharmonicznych, a aktorzy-amatorzy nie urządzają wycieczek do teatrów zawodowych.

Wydało mi się, że pracę kulturalną na wsi rozpoczęliśmy nie od A, ale gdzieś dopiero od połowy alfabetu. Domu nie można budować od dachu, a nauki matematyki zaczynać od ułamków. Najpierw musi być $1 + 1 = 2$, aby z kolei...

Pierwszą literą kulturalnego alfabetu polskiej wsi współczesnej jest — moim zdaniem — oświata. Nie ta wąska, sprowadzona do walki z analfabetyzmem, ale pojęta jako szerokie systematyczne działanie przy użyciu wszelkich dostępnych w tym zakresie metod i form.

Działalność różnego typu amatorskich zespołów artystycznych bezpośrednio angażuje tylko niewielką, ograniczoną ilość osób. Bywa, że zespoły te działają w odosobnieniu, w oderwaniu od pozostałych mieszkańców wsi. Ograniczają się oni co najwyżej do obejrzenia pierwszego przedstawienia i poplotkowania o wykonawcach. Dlaczego tak się dzieje?

W społeczeństwie wiejskim nie zdołaliśmy jeszcze wykształcić nawyków kulturalnych. Mieszkaniec wsi nie przyswoił sobie zdolności łączenia pewnych faktów kulturalnych i oświatowych z sobą, nie odczuwa potrzeby mówienia o nich, myślenia, życia nimi. Mieszkaniec wsi nie został jeszcze wychulony na subtelności i niuanse kultury, nie rozumie jej i dlatego też obcuje z jej poszczególnymi formami (przedstawienie teatralne, radio, telewizja, prasa) nie czerpie z nich pełnych korzyści jakie z sobą niosą.

Wydało mi się, że dokonywająca się w naszym szkolnictwie wielka reforma sprzyja wysuwaniu postulatów pod adresem szkoły i nauczyciela. Twierdzi, że na wsi szkoła winna stać się ośrodkiem pracy kulturalno — oświatowej, zaś nauczyciel jej głównym inspiratorem, organizatorem i wykonawcą. Oświata wymaga żmudnej, codziennej, stałej i systematycznej pracy. Nauczyciel jest najbliższym środowisku, po latach pracy pedagogicznej jest uznawany za „swego”, jest jednym z członków tegoż środowiska. Styka się z nim, zna jego potrzeby i jego możliwości. Prócz tego posiada przygotowanie zawodowe i pedagogiczne umożliwiające mu prowadzenie prawidłowej pracy w tym zakresie, dysponuje lokalem (klasy w szkole, świetlica, sala gimnastyczna). Dlatego szkoła tętniąca życiem w godzinach rannych i południowych stoi martwa i cicha wieczorem? Rzućmy hasło: **rano szkoła dla dzieci, wieczorem dla młodzieży i starszych.** Nie chodzi mi tu o szkoły wieczorowe dla dorosłych, choć i te niewątpliwie w wielu miejscowościach by się przydały, ani też o systematyczne uzupełnianie przez mieszkańców wsi braków w podstawowym wykształceniu. Mam na myśli organizowanie ciekawych odczytów, pogadanek, prelekcji, wykładów itp. z różnych dziedzin i na różne tematy. Może to być zagajenie do dyskusji nad aktualną sytuacją międzynarodową czy krajową (nie lekajmy się tych tematów, dla wielu osób są one bardzo frapujące) lub dostarczenie słuchaczom pewnej sumy wiedzy z zakresu lotów kosmicznych. Może to być żmudna i dla wielu żenująca (lecz jakże wielce potrzebna i pożyteczna) lekcja ortografii czy prawidłowego, poprawnego wystawiania się. Może to być wieczór gawęd regionalnych czy też występy miejscowej, ludowej kapeli.

Może ktoś powiedzieć — co to wszystko ma wspólnego z oświatą a tym bardziej i z kulturą masową? Okazuje się, że ma i to bardzo wiele. Im człowiek będzie bogatszy w wiedzę, tym większe będą jego potrzeby oświatowe i kulturalne.

Nie ma, bo nie może być, kultury bez oświaty. Program masowej kultury dla wsi uzupełnić nam trzeba hasłem masowej oświaty. Dopiero połączenie obu tych form, metod i treści przekształci może z gruntu umysłowe, kulturalne oblicze naszej wsi. Może przyczynić się do nadania kultury za pomocą w szybkim tempie mechanizacji i technizacji naszego rolnictwa.

Chcę skorzystać z przysługującego mi zwyczajowo prawa i odpowiedzieć moim polemikom. Prawda — długo czekać czekać adwersarzom, zwłaszcza łaskowkarzowi — ponaślę, który zechciał zabrać głos, podniecony artykułem „Prawo dzwoni”. Jego główne obiekty zawięz można w dwóch punktach, po pierwsze: głos mój dotyka także kierowców, przestrzegających przepisów ruchu kołowego, po drugie: na Zachodzie, o ile jemu wiadomo, jeździ się inaczej niż pisałem. Odpowiadam: obiekty pierwszej jest bezprzedmiotowa, ponieważ moje uwagi krytyczne dotyczyły, oczywiście, łamaczy prawa; natomiast, jak już się na Zachodzie (zresztą w każdym kraju cywilizowanym) o to może być raczej spokojny. Jeśli był — to sam widział. Jeśli nie był, wystarczy z dobrą wolą poobserwować inno-cyjnych z nas na MTP. Dadzą wprawdzie obraz wycinkowy, lecz lepszy taki niż powoływanie się na świadectwa znaiomków. Ostatnio wydane u nas przepisy i zastrzeżenia (choć wciąż nie dostosowana w pełni do potrzeb, bo brak jej prewencyjnego znamienia) ekcja MO, mówi kto tu ma dobro publiczne na uwadze. Mówi też statystyka „drogowej” śmiertelności, oraz wprowadzany zwyczaj karania rodziców za brak nadzoru nad dziećmi. Zresztą nie chcę się powtarzać.

Bardzo natomiast podobał mi się głos w sprawie artykułu „Socjologiczny snobizm”. Może tylko niepotrzebnie rozdzielano stopnie pomiędzy poznajskich uczonych. Sprawa to niezwykle subtelna. Najlepiej niech wyrykuje dorobek. W końcu drobiazg. Głos po-

Przemysław Bystrzycki

Odpowiedź polemistom

lemiczny interesujący, bo stał, że tak powiem, pod znakiem powołania studium socjologicznego dla dziennikarzy w Poznaniu. To już efekt konkretny (nie przypisujemy go sobie), świadectwo, iż niezdyktowany merytorycznie i formalnie „socjologii”, uprawianej niekiedy na łamach, przyjdzie w sukurs świadomość teoretyczna, likwidująca wstydlivy cudzystów.

Trzecim artykułem, godnym już specjalnej uwagi, jest odpowiedź, zamieszczona w „Głosie Tygodnia” na moje analizy i propozycje, zat. „Kapiuła Znaku Celera”. Można do głosu tego ustosunkować się dwójako: pamphletowo lub merytorycznie. Wolę stanowisko sine ira et studio, wybieram więc drugi punkt widzenia. Ponieważ artykuł wywołał trochę odzewu wśród moich znajomych, przeprowadziłem co w rodzaju ankiety. Pytałem: jaki wasz pogląd? I teraz nie tylko już wysoki urzędnik administracji szkolnej, dyrektor placówki nauczania, matka, ale i nauczyciele, ale i ludzie sztuki, ale i osoby postronne, wszyscy byli przeciwko rozdawniu orderów i ich obrońcom. Mam nawet korespondencję w tej sprawie, a w „Magazynie” wypowiedziała się jakaś pani. A więc z „Odnaką czy bez”?

Muszę tu trochę zafrnąć się nad detalami, nie dla zbyt czułych pedanterii, lecz nie jestem w stanie inaczej wyka-

Kiedys napisałem artykuł o dobrze pracującej szkole podstawowej, uznanej przez władze szkolne za najlepszą w województwie. Inspektor szkolny przy najbliższym spotkaniu powiedział: — Coś pan narobił! Straszne pretensje ma kierownik sąsiedniej szkoły.

— Przecież o nim nie pisałem.

— Właśnie dlatego. Uważa, że należało napisać o jego szkole, bo w niej uczy się przeważnie młodzież PGR-owska.

— A jak z wynikami nauczania tej szkoły?

— Prawdę mówiąc, nie bardzo.

Podobna historia spotkała mnie niedawno. Tematem artykułu był działacz regionalny w pewnym miasteczku. Przez dłuższy czas interesowałem się jego pracą i podziwiałem zapał młodzieńczy, nie będący wcale w zgodzie z jego siwymi włosami. Przy tej okazji wypomniłem tamtejszym nauczycielom że nie włączają się do pracy społecznej. I oto interwencja.

— Panie, zniechęcają aktywności w tym miasteczku! — powiedział działacz wojewódzki.

Przetarłem oczy: — Jakich aktywności? —

— Tamtejsze grono nauczycielskie.

— A w czym ich aktywność się ujawnia?

— Tego nie wiem.

Może nie miałem racji, może ci nauczyciele — jak

tysiące innych ich kolegów — naprawdę udzielają się

społecznie? Wiadomo, czo-

wiek istota omylna. Pojechałem, szukałem tej aktyw-

nej działalności i nic nie znalazłem. Okazało się, że są

to aktywności w myśli i w mowie. Za to odkryłem

inny problem.

Postuluję się przykładem. W mieście czy w miasteczku lub na wsi jest strasznie nudno. Najodważniejszy postanawia wnieść ożywienie kulturalne. Prosi o pomoc nauczyciela, agronoma, czy kogoś innego z patentem inteligenta. Dostaje odpowiedź odmowną. Po co sobie głowę zaprzątać dodatkowymi sprawami? Zostaje więc skazany na własne siły.

Skupia koło siebie młodzież, a gdy jej mało, sięga po starszych. To wystawia się sztuce teatralną, to organizuje się wycieczkę, to buduje się świetlicę, to urządza się klub, a nawet powołuje się do życia stowarzyszenie regionalne, by lepiej poznać rodzinne strony. Byli i tacy, którzy uratowali cenne zabytki historyczne, przyczynili się do powstania muzeów regionalnych i domów kultury, w sumie do tego wszystkiego, co nazywa się życiem kulturalnym. Za tymi efektami idzie szacunek dla inicjatorów, idzie i uznanie.

Ludzie są — ludzi nie ma

Dokończenie ze str. 1

Przed pewnym czasem zainicjowaliśmy na naszych łamach dyskusję pt. sprawy poznańskiej nauki; jej wynikiem był m. in. wniosek, postulujący potrzebę powołania w Poznaniu kolegium rektorów szkół wyższych, dla koordynacji poczynań z zakresu dydaktyki, czy też dotyczących rozwoju bazy materialnej. Z inicjatywy KW PZPR doszło niedawno do powołania takiego kolegium. Wydaje się, że nie będzie ono mogło narzekać na brak zadań. Kolegium może m. in. odegrać istotną rolę w rozwiązywaniu dylematu kadrowego naszego regionu.

Ważka rola kolegium

Trzeba będzie poddać analizie limity miejsc w poszczególnych uczelniach i wydziałach, czy specjalnościach: po zestawieniu ich

z potrzebami, zgłoszonymi przez organy planowania, zbierze się — być może — dość wiele argumentów, uzasadniających wnioski o zwiększenie liczby miejsc na tym czy innym wydziale tej czy innej uczelni.

Nadanie takiego kształtu polityce stypendialnej, by stała się ona instrumentem pomagającym uzupełniać nasze braki kadrowe — to odrębne zagadnienie.

Niemalże znaczenie ma rozbudowa bazy materialnej poznańskich uczelni — przy pomocy władz miejscowych. Wiele w tym zakresie dotychczas zdziałano (WSR, PP), ale wiele też jest jeszcze do zrobienia.

Wydało się ponadto, że bez połączenia dużego nacisku na rozwijanie rozmaitych form studiowania zao-ocznego — uczelnie nie dostarczą potrzebnej liczby fachowców. Powołane do życia punkty konsultacyjne Politechniki w Koninie i Ostrowie, a Uniwersytetu w Kaliszu

Ambicje fakty i chęci

Wtenczas to odzywają się ci, którzy przez cały okres pracy działacza-amatora stali na uboczu. Stwierdzają, że sami by lepiej to zrobili, że ów działacz stał się dyktatorem, że nie ma koło siebie mocnego kolektywu itd. Sympia się kamienie za kamieniami na czołowieka — jak to się mówi — Bogu ducha winnego.

Prawda, że tu i ówdzie stał się naprawdę „kulturalnym dyktatorem”, jednak nie ze złej woli, lecz

w wyniku sytuacji. Nie mając żadnego poparcia ani życiowej rady, sam musiał decydować. A po pewnym czasie wchodzi to w nawyk.

Przeciwnicy prowadzą kampanię na coraz większą skalę. Działacz po pew-

nym czasie zniechęca się, czasem zbłąmucone środowisko zaczyna od niego stronić. I kończy się działalność, a zaczyna nuda.

Tak wygląda walka działaczy z urojenia z działaczami faktycznymi. Pierwszych jest bardzo dużo, drugich znacznie mniej. Bywa, że środowisko przyjdzie z odsieczą zaatakowanym i ich obroni, bywa też, że dla świętej zgody odżegna się od jednych i drugich.

A teraz popatrzmy na korzyści. Nie ma żadnych. Jest tylko ktoś pokrzywdzony i zniechęcony, a najbardziej poszkodowane jest środowisko.

Szanujmy więc każdą dobrą inicjatywę, pomagajmy jej, mimo że inicjator nam się nie podobą z powodu nieodpowiednich okularów, szpakowatych włosów lub usposobienia, sami twórzmy przy nim kolektyw, nie czekając na pokorne zaproszenie. Chodzi przecież o sprawę a nie o... szlachecki honor.

Uznanie? Jest nim sama praca. Krucha jest bowiem ambicja, która zabiega o gazetowe uznanie, i ta, która nie wychodzi ani krok poza krąg planów i słów. Liczą się fakty, a nie chęci.

J. P.

i WSR w Lesznie — powinny być rozwijane. Ale czy potrzeby terenowe w tym zakresie zostały już w pełni zaspokojone?

Niezależnie od — koniecznych zresztą — podciągnięć organizacyjnych (o niektórych — była mowa powyżej), potrzeba odpowiedniej atmosfery, atmosfery poszanowania cichych umiejętności i czegoś wysiłku. Jednym słowem, nie fetyszyzując dyplomów ukończenia studiów, ustosunkowujemy się do ich posiadaczy rzeczowo, do tych zaś, którzy je właśnie zdobywają — szczególnie życzliwie. Ważny ten element mocno podkreślił w jednym z swych wystąpień I sekretarz KW PZPR — Jan Szydłak. Można ryzykować twierdzenie, że owej atmosfery przychylności dla ludzi z dyplomami, dla ludzi kształcących się — było w Poznaniu i Poznanskiem za mało. Teraz mamy za mało fachowców. Chyba jedno z drugim także w jakimś stopniu się wiąże.

PIOTR ŻYCKI

reszcie, co u polemisty wywołało wrzenie, iż cenę sobie cwaniactwo, spryciarstwo i hochszaplerstwo, gdy tymczasem zręczni to tyle (jak wynikało z kontekstu) co zaradni, mężni, odporni — łatwiej zniosą przyszłe porażki.

Polemista powiada: Bystrzycki wymieniając pedagogów dla poparcia swej tezy, powołuje się na anonimowe autorytety. Tak każdy może. Zaraz! Ustalmy reguły gry, zgodne z obyczajami. Jakże bowiem wymieniać ludzi z którymi rozmawiałem prywatnie? Polemista jest dziennikarzem i dobrze wie w czym rzecz. Jeśli pyta w ten sposób, czyni, to dla dwóch powodów: albo dla dowcipu: zobaczmy co z tego wyniknie. Nic nie wyniknie — odpowiadamy — ponieważ, jak zapowiedziałem, nie chcę pisać pamphletu.

Inna już rzecz czy przyznawanie owych wyszywanych medalików, doczepianych do szkolnych fartuchów to wymysł zapożyczonych w rozwoju nauki z Koziej Wólki, czy też najwybitniejszych pedagogów w naszym kraju oraz władz szkolnych. Hm. Lubię taki podniosły ton. Jest w tym coś, przyznacie: najwybitniejsi, najdoskonalsi, najznamienitsi, a równocześnie najbardziej anonimowi niż moi rozmówcy ponieważ nawet osobiście nieznani. Tak to wraca bumerang chyłty nie fair do rak z których został wyrzucony. Zostawmy to. Proponuję w zamian ankietę, niechby tylko wśród tych wybitnych na temat nas obchodzących.

Dalsza część polemiki zawiera kontrargumenty wyliczone tu enumeratywnie z braku miejsca. Według mego rozmówcy: a) wyróżniony jest przedmiotem naturalnej eliminacji, ponieważ odznaka dostaje się z reguły najzdolniej-

szym, b) dostaje się też najpracowitszym, c) twierdzenie, jakoby wyróżnienie rozpało jedynie donosielsiwo wydaje się wymysłem Autora (podkr. moje), d) dawniej, mimo braku odznak, też bywali prymusi (nie wiedziałem), e) polemista daruje mi pokłonięcia logiczne kiedy to w jednym miejscu wołam o polską tradycję szkolną a tuż obok podaje przykłady ze szkolnictwa angielskiego. Na koniec tajemniczy wniosek, iż czerwone medale mają rzekomo przybliżyć szkołę do życia.

Punkty a, b, d nie rozszerzają polemiki i nie wnoszą nowych akcentów. Sam je postawiłem w moim artykule jako antylezy, po których przewyższeniu doszedłem do wiadomych wniosków. Nie wymagają więc odpowiedzi, wysłarczy w zamian uważnie przeczytać artykuł. Pkt „c” jest odległy od prawdy jak przysłówek „jedynie” od „również”. Co do pkt. „e”, to za uprzejmość dziękuję ale nie skorzystałem. Dygresję od przesłanki należy odróżniać jeśli chce się dyskutować na pewnym poziomie.

W zasadzie tyle. Powinienem jednak podziękować autorom wszystkich trzech głosów polemicznych. Jakkolwiek pierwszy i trzeci nie rozszerzyły omawianych problemów o nowe elementy poznawcze, dobrze że padły. Przy dialogu łatwiej o jasność. Jeśli Znak Celera dalej ma swych zwolenników (o ile wiem szkoły nie zrezygnowały z praktyki orderowania), może warto poprosić z kolei władze szkolne o głos w tej sprawie. Gdy zaś nastąpi ta miła chwila, niezależnie od ostatecznych wniosków, autor tych uwag, które ze swej strony uważa za końcowe, będzie sądził, że spełnił swoje zadanie.

Franciszek Hryniewicz

Tajniki Góry Lecha w Gnieźnie

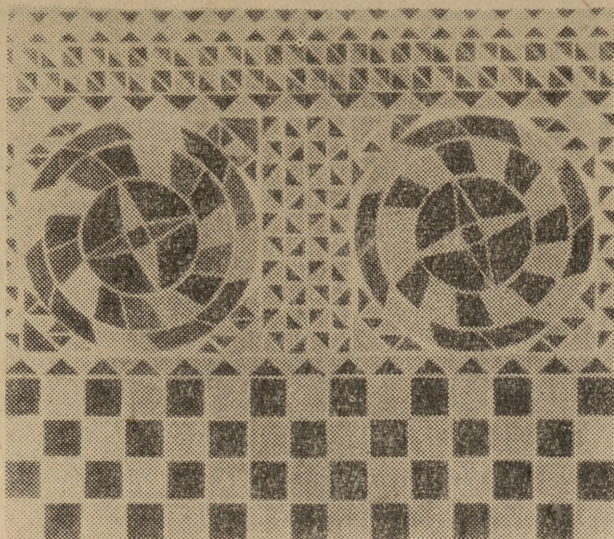
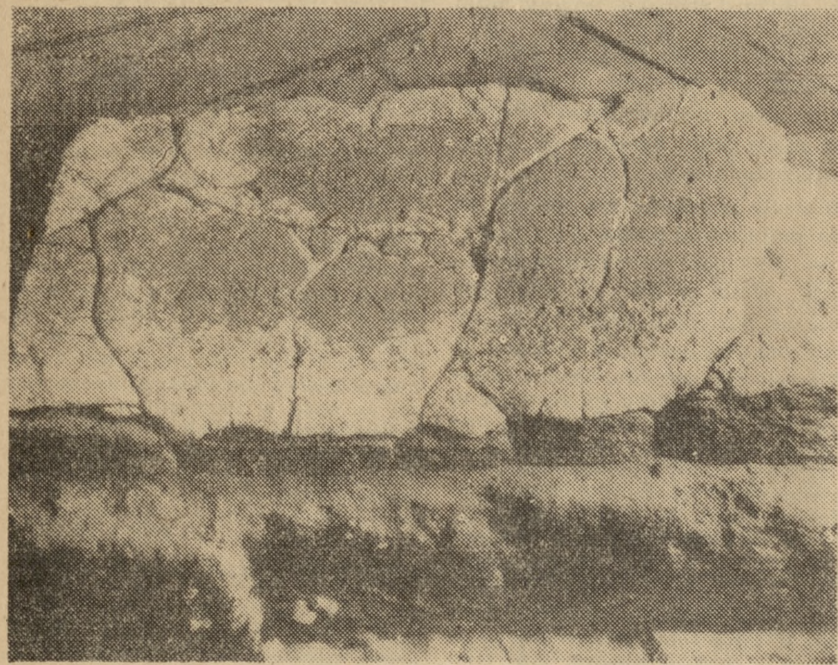
Zbliżające się Tysiąclecie państwowości polskiej wzmogło zainteresowanie się społeczeństwa jej początkowymi dziejami i oczy skierowały się na Gniezno i inne zamierzone grody na ziemi wielkopolskiej. Już przed wojną Gniezno nęciło archeologów i historyków. Prowadził tam prace wykopaliskowe prof. dr J. Kostrzewski, a w latach 1926/28 gnieźnieński biskup ks. Laubitz. Najwięcej śladów badawczych pozostało po wspomnianym biskupie. Był on zresztą ostatnim badaczem-amatorem podziemi bazyliki. Przed nim penetrowali grobowce inni, niepowołani intruzi, zapewne w poszukiwaniu cennych metali. Wszystkie grobowce znalezione obecnie są pootwierane i zawartość ich przemieszana.

O pracach naukowo-badawczych pisaliśmy na łamach „Głosu” w styczniu 1959 roku. Od tego czasu nagromadziły się nowe i bardzo cenne materiały. Prace prowadzą z ramienia Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN i Muzeum Gnieźnieńskiego prof. dr Kazimierz Żurawski i mgr Gabriela Mikołajczyk, której życzliwości zawdzięczamy nowe dane o pracach wykopaliskowych.

Wydarcie podziemi bazyliki jej tajemnic wymaga żmudnej i docieklivej pracy. Płdrowanie katedry przez czeskiego Brzetysława II i rodzinnych późniejszych wandalów, a zwłaszcza pożary, jakie jedno po drugim nawiedziły katedrę stworzyły niemal dżunglę w jej wnętrzu, przez którą przedzierać się musi archeolog i historyk. Dość powiedzieć, że obecny gotyk poprzedziły co najmniej trzy świątynie romańskie niejednokrotnie ufundowane.

Nie zbadano dotychczas podziemia prezbiterium i nawy głównej, lecz to co przyniosło zbadanie nawy północnej i południowej, posiada pierwszorzędne znaczenie. W warstwie katedry romańskiej znaleziono sporą ilość płyt z posadzki ceramicznej, z dawną polewą koloru żółtego, zielonego i granatowego o ornamentach geometrycznych oraz kilka ułamków romańskich szybów witrażowych, z malowanym barwnie ornamentem. Wspaniała to musiała być bazylika! Może tę barwną posadzkę kazał zrobić Bolesław Chrobry na przyjęcie

Najstarszy w Polsce relikwiarz zapisanej płyty nagrobkowej w Katedrze Gnieźnieńskiej.



Fragm. posadzki ceramicznej różnokolorowej drugiej kościoła romańskiego.

Ottona III i w okna wstawić kolorowe witraże? Otwiera się tu pole do rozmaitych domysłów.

Wprost rewelacyjnego odkrycia dokonano w wykopie między absydą starszą a młodszą katedry romańskiej. Odnaleziono relikwiarz płyty nagrobkowej wykonanej z zaprawy gipsowej wylanej na kamieniu, pokrywającej nieznaną grób. Na wygładzonej powierzchni płyty zachował się częściowo uszkodzony napis łaciński, z którego wynika, że grób kryje kości trzech zmarłych w początkach istnienia na tym miejscu katedry. Zdaniem prof. dr K. Żurawskiego, prowadzącego badania wykopaliskowe, „płytę tę trzeba uznać za najstarszy oryginalny zabytek pisany w Polsce. Jest on obecnie przedmiotem specjalistycznych badań paleograficznych.” Wiadomość o tym cennym odkryciu dochodzi do nas po raz pierwszy.

Ostatnio przeprowadzonym badaniom zawdzięczamy jeszcze inne, ciekawe odkrycie. Poniżej poziomu katedry romańskiej zachowała się warstwa kulturowa, reprezentująca najstarszą kulturę osadnictwa grotowe go, to jest z końca VIII i początku IX wieku. Brak w tej warstwie szczątków domów znanych z terenu otoczenia katedry. Dopiero w pobliżu wieży prof. Żurawski odnalazł resztki paleniska. Nasuwa się przypuszczenie, że obszar centralnej i wschodniej części dzisiejszej katedry wydzielonej był jako miejsce kultu bogini Nyi. Według Długosza Gniezno było centrum kultu tej bogini.

Jak wynika z dotychczas prowadzonych prac, na podgrodzio „Góry Lecha” istniało prawdopodobnie według hipotezy mgr J. Mikołajczyka „więcej kościołów niż jeden”. Odkryty w podziemiu murek należał do kościoła o innym rzucie, aniżeli najmłodszy kościół katedralny romański.

Prace archeologiczne w Gnieźnie nie są zakończone.

Poza bazyliką przeprowadzono badania na przyległych ulicach Tumskiej 8 i J. Łaskiego 1. Wszystko to pozwala przypuszczać, że obronność „Góry Lecha” była duża i składała się z kilku wałów. Podziemne Gniezno nie zdradziło jeszcze swych tajemnic. Dalsze badania w prezbiterium i nawie głównej mogą być rewelacyjne.

ZAPASY

Dokończenie ze str. 1

moglibyśmy z przyjemnością skonsultować sami.

Czy można się więc dziwić, że co rozsądniejszego obywatela ogarnia szewska pasja, gdy czyta, słyszy lub widzi, że gdzieś tam niszczą drogocenne maszyny, że latami całymi leżą w przepastnych magazynach łożyska, kable, tkaniny, chemikalia i inne przedmioty?

Tam przecież leżą zamrożone podwyżki płac; leżą mieszkania, szkoły, drogi i mosty, które mogłyby być wybudowane, lecz nie mogą być wybudowane. PIOTR CHOJNACKI

Eugeniusz Paukszta

Spod polskich piór

Zgodnie z tradycją, sumienie przekazuje liczny zbieraczom prac wspomnieniowo - analitycznych czasu okupacji, kilka istotnych pozycji z tego zakresu. Oto nakładem MON-u ukazało się nowe, przepracowane i poszerzone wydanie dokumentarnej pracy „Wspomnienia żołnierzy GL i AL”. Uzupełnieniem tekstów wspomnieniowych są krótkie charakterystyki danego obwodu, liczne mapki, setki fotografii i szczegółowe indeksy. W MON-ie też opublikował swoje pamiętniki Józef Jarosz pt. „Ze wspomnień dowódcy okręgu GL i AL”, stanowiące odzwierciedlenie poważnego fragmentu działań partyzantki ludowej na Kielecczyźnie. Ważnym uzupełnieniem tekstu są aneksy, zawierające szereg rozkazów i raportów poszczególnych jednostek bojowych, oraz sporo danych personalnych. Zgola rewelacyjne są, również wydane przez MON, wspomnienia Jerzego Fonkowiaka pt. „Pierwsze pistolety”, będące obrazem akcji przedsięwziętych przez dowódcę przez autora specjalną grupę bojową GL, mającą za zadanie zdobywanie broni, walkę z agentami wroga, ochronę lokali (m. in. lokalu, w którym odbywa się posiedzenie KRN) itp. I tutaj bogata dokumentacja jest uzupełnieniem relacji autora. W „Czytelniku” z kolei ukazały się dwie książki o charakterze wspomnieniowym. Po piętnastu latach wznowiono, przepracowane i poszerzone, świetnie napisane, wspomnienia okupacyjne z Warszawy Jacka Wołoskiego „Tak było”, ważne tym, że ciekawie ukazują nastroj walczącej stolicy. Mniej impresyjny, bardziej znacznie osadzony w konkrety jest pamiętnik znanego plastyka, Stanisława Międzytomskiego „Benefis konspiracyjny”, aktywnego działacza BIPu (Biura Informacji i Propagandy Kom. Gł. AK), współredaktora „Biuletynu Informacyjnego”. Dzieje autora, technika konspiracji, aż po takie wycieczki, jak fikcyjna śmierć, stanowią frapującą lekturę. Postawie opracował Wojciech Sulewski. Książkę uzupełnia wykaz egzekucji ulicznych dokonanych przez hitlerowców w Warszawie.

A teraz nieco innych wspomnień, pogodniejszych, związanych przede wszystkim z dziedziną sztuki. PIW w bibliotece „Syrenki” wydał „Okrychy wspomnień” Stanisława Arcta ze znanej rodziny wydawniczej, ściśle związanej z Warszawą. Tło historyczne, malunek patriarchalnej rodziny, ukazanie przełomowych lat pierwszego dwudziestolecia naszego wieku, także od strony politycznej i dyplomatycznej, wszystko to spisywane ze starożytnością nieco swadą — zacięka i uczy. Arct doprowadza swoje wspominki (od roku 1836 do lat dwudziestych. Satisfakcją dla smakoszy literatury staną się opublikowane przez „Znak” wspomnienia i impresje Zofii Starowieyskiej-Morstinowej: „Ci, których spotykałam” (świetne literacko szkice o Wittlinie, H. Jasnorskiej - Pawlikowskiej, J. Weyssenhoffie, Cecylii Łubieńskiej i innych), wnoszące sporo wiedzy do minionego okresu dziejów naszej kultury. Inny nieco charakter, choć oparty także w znacznym stopniu na osobistych wspomnieniach ma opowieść Lwa Kaltenberga o Wypisaniu „Ogień strzeżony”, wydana przez LSW. Autor zna okres Młodej Polski, zgromadził rzadką dokumentację, zachował w

wszystko to spisywane ze starożytnością nieco swadą — zacięka i uczy. Arct doprowadza swoje wspominki (od roku 1836 do lat dwudziestych. Satisfakcją dla smakoszy literatury staną się opublikowane przez „Znak” wspomnienia i impresje Zofii Starowieyskiej-Morstinowej: „Ci, których spotykałam” (świetne literacko szkice o Wittlinie, H. Jasnorskiej - Pawlikowskiej, J. Weyssenhoffie, Cecylii Łubieńskiej i innych), wnoszące sporo wiedzy do minionego okresu dziejów naszej kultury. Inny nieco charakter, choć oparty także w znacznym stopniu na osobistych wspomnieniach ma opowieść Lwa Kaltenberga o Wypisaniu „Ogień strzeżony”, wydana przez LSW. Autor zna okres Młodej Polski, zgromadził rzadką dokumentację, zachował w

z książką na

PIW wydał już (uznanie za tempo!) odznaczoną II nagrodą na konkursie międzywydawniczym powieść Juliana Kawalca „Ziemie przypisywane”, w bardzo ciekawej formie (rozmyślanie prokuratora) ujętą analizą przeobrażeń wsi polskiej na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Rzecz zajmująca zwłaszcza trafnym studium psychologicznym. Może mylić tytuł, ale naprawdę bardzo polecam dobrą powieść Zofii Chądzyńskiej „Chemia” wydaną w „Czytelniku”. Jest to książka nie najtwardsza w odbiorze, treścią jej nianse psychologiczne, próba ukazania wzajemnego oddziaływania na siebie losów ludzkich, ich przeobrażenia pod tym wpływem, jednym słowem, chemia wzajemnych kontaktów i przemian.

A teraz co nieco dla entuzjastów literatury podróżniczej. MON wznowił świetne impresje Wojciecha Zukrowskiego z Indii „Wędrowki z moim Guru”, które nie potrzebują specjalnej reklamy, jeszcze, gdy się doda, że wydanie to ilustrowane jest przez Jana Marcina Szancera. Wznowiła też „Wiedza Powszechna” Mieczysława Lepeckiego „W selwasach Paragwaju”, świetną, wnikliwą opowieść o losach Indian w tym osobliwym kraju. Niełatwo też zagrzeże miejsce na półkach księgarń „Romans Morza Karaibskiego” Olgierda Budrewicza („Czytelnik”) rezultat reporterskiej wyprawy do dziewięciu państw Ameryki Łacińskiej, pasjonująca opowieść o losach tych ludzi i krajów.



Na Zjazd ZLP

Nowa Kultura poświęca odbywającemu się Zjazdowi Związku Literatów Polskich artykuł wstępny, w którym m. in. czytamy:

„Pisarz może organizować, upowszechniać, działać społecznie. Może, ale nie musi. Jest to sprawa temperamentu, upodobań, w końcu — wolności czasu. Musi natomiast pisać. I od tego, że pisać, a bardziej jeszcze od tego, co pisać — powinna zależeć siła jego pozycji w społeczeństwie (...) Głosy zjazdowe (...) mogą (...) wpłynąć na szerszy rozwój tej odważnej, poszukującej i niepokojącej literatury. Mogą także wpłynąć na atmosferę, która ją otacza. Na usunięcie z jej drogi istniejących jeszcze przeszkód niematerialnych i materialnych (...) Przyszłość będzie nadchodzić zupełnie tak samo jak my sądymy przeszłość. Nie tylko na podstawie przedmiotów z żelaza i cegły, lecz również na podstawie książek, które pozostawimy”.

Oto credo pisarzy i wołanie o literaturę zaangażowaną reprezentującą wysoki poziom artystyczny.

Podsumowanie wrażeń

Aleksander Małachowski zamieścił na łamach Przeglądu Kulturalnego artykuł pt. Postawie. Jest to swego rodzaju podsumowanie wielkiego cyklu reportaży pt. Rzeczniepospolita, będącego opo-

wieścią o współczesnej Polsce i publikowanym w Życiu Warszawy oraz w Przeglądzie Kulturalnym. W Postawie autor jeszcze raz powraca do niektórych poruszanych poprzednio problemów. „Polska obecna ma wiele wad po stokroć już opisanych. Jest nie najlepiej zorganizowana; więcej wysiłku zużywa się na utrącanie nowych wynalazków i zapasowanie życia ich autorom, niż na szybkie rozprzestrzenianie nowości i obywateli ludzi nagrodami, czego domaga się zarówno logika jak i ogólna sytuacja kraju. Każda większa i mniejsza bzdura przechodzi w Polsce bez trudu, a rzecz pożyteczna napotyka przeszkodę”.

Ale nie tylko cieniem poświęca Małachowski swą uwagę. Oto trzy najważniejsze pozytywne: po pierwsze, Polska ma po raz pierwszy od setek lat szybko bogacącego się chłopca, po drugie, nie ma w Polsce nędzy proletariatu a przecież nawet w bogatych krajach Zachodu można ją spotkać; owszem, są jeszcze tragiczne sytuacje poszczególnych rodzin robotniczych, są rozpaczliwe warunki mieszkaniowe, ale przeciętny poziom życia — w porównaniu z przeciętnym poziomem produkcji, jest wyższy, po trzecie, godna pochwały jest łatwość z jaką ludzie z dawnych dołów społecznych przenikają do warstw oświeconych i wyżej na tej społecznej drabinie usytuowanych. Tego nie ma w bogatych krajach Zachodu.

Wielką zaletą cyklu reportaży A. Małachowskiego jest właśnie ich obiektywizm, pokazywanie ciemnych i jasnych stron współczesnej Polski.

Wspomnienia spod Stalingradu

Interesujący reportaż Leona Zielenicy pt. Byłem pod Stalingradem drukuje Polityka. Przed 20 laty rozpoczęła się pod Stalingradem (obecnie Wołgogradem) kontrofensywa radziecka. Autor rozpoczyna swe wspomnienia 19 listopada, godziny 7 rano. Pisz o przygotowaniu artyleryjskim, jakiego nie znają jeszcze dotychczasowe

wojny. Wreszcie po przerwaniu nawały ruszyło natarcie: czołgi i piechota.

„Gdzie są okopy i punkty oporne wroga? Co z nich pozostało? Tu i ówdzie podnosiło się coś żywego, ogłuszone, na wół żywe, z obłąkanym wzrokiem, z krwią ciekącą z nosa i uszu. Jak on wyżył? Przecież okopy i ziemianki nie mogły dać żadnej ochrony. Jeżeli pocisk nie posarzał, to szalone podmuchy gwałtyły i zabijały. Wyrywa w liniach niemieckich rozszerzała się coraz bardziej. Już nie 10 km, lecz 30—40 km i rozszerza się z gozdziny na godzinę. Niemcy się załamali!”

W innym miejscu autor opisuje posuwanie się w wyrwie nieprzyjaciela jednostek artylerii. W pewnym momencie jego jednostka natrafiła niespodziewanie na Niemców znajdujących się we wsi:

„Nasze salwy wywołały we wsi gwałtowny popłoch. Zaczęła się paniczna ucieczka (...) Samochody w pojedynkę wypadały ze wsi i rwały w przeciwnym kierunku. Niemcy nawet się nie orientowali, że przed nimi też już są nasi. O, to już nie są ci sami Niemcy! Jak oni wieją!”

Profesorowie — asystenci

Polityka kontynuuje dyskusję o stosunkach między profesorami a pomocniczymi pracownikami nauki na uczelniach. Tym razem Jerzy Burzyński w artykule pt. Głos byłego wasala opisuje swoje własne perypetie:

„Profesor nie miał czasu na Katedrę (...) Rzadko odwiedzał placówkę którą kierował. Nie zawsze miał czas na wykłady. Ćwiczenia nie obchodziły go zupełnie. Uznał też, że asystenci obciążeni w ten sposób, jak my, nie mogą zajmować się pracą naukową. (...) Przez 4 lata Katedra „szła” dzięki nam, asystentom. Tylko, że przez to nie spełniliśmy podstawowego obowiązku pracownika nauki — nie posunęliśmy się ani o krok w badaniach,

skażaliśmy się z góry na „wypadnięcie” z zawodu, który obraliśmy. (...) Profesor bardzo się dziwił, kiedy złożyłem rezygnację”.

Być może, jest to przypadek skrajny. Ale czy nie ma uczelni, katedr, zakładów naukowych, gdzie stosunki między profesorami a ich wasalami (czytaj: młodszymi pracownikami nauki) układają się w tak niekorzystny i szkodliwy sposób?

Warto zwrócić uwagę...

...na kilka innych interesujących pozycji. Polityka publikuje za londyńskim Times'em fragment pamiętników b. brytyjskiego ministra spraw zagranicznych i premiera — Anthony Edena. Fragment pt. Rozmowa z Hitlerem dotyczy 1935 r. W Przeglądzie Kulturalnym frapująca lektura jest cała kolumna listów wybranych spośród tych, co przyszły do redakcji jako odzew na cykl reportaży Wł. Bieńkowskiego pt. Podróż po Polsce.

Melchior Wańkowicz w Nowej Kulturze (felieton pt. Kult zmarłych) postuluje nową formę pogrzebu. Ma na myśli kremację gdzie indziej powszechnie stosowaną. „Wiele nowych form — pisze Wańkowicz — przychodzi z opóźnieniem do Polski, ale sprawa spopielania ciał bardziej się opóźnia niż inne rzeczy”.

Prof. dr J. Jakubowski pisze (artykuł pt. Pisarz i ideał) w Tygodniku Demokratycznym o zmarłym przed 25 laty pisarzu Andrzeju Strugu.

Perypetie człowieka dochodzącego w papierowej wojnie sprawiedliwości opisuje w Polityce (reportaż pt. Był sobe wyrok...) Tadeusz Kołodziejczyk. Jedyną argumentacją autora są dokumenty.

Na koniec odnotujemy jeszcze — jak pisze Przekór, przez kumoterstwo — dwie pozycje w 50 numerze Świereczka. Piszą w nim dwaj poznańscy satyrycy: Lech Konopiński (Za siódmą górą) i Włodzimierz Scisłowski (Cebulowe kłopoty). Ich utwory ilustrowali Olga Siemiaszkowa i Mieczysław Piotrowski.

LEKTOR